



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: MIĘDZY POMYSŁEM A EFEKTEM

W dniach moskiewskich Igrzysk Olimpijskich wprowadzono na ekran lubelskiego „Kosmosu” debiutancki fabularny film Andrzeja Kotkowskiego „Olimpiada 40”. Tytuł prawie jak ułał, temat „podchodzący”: problematyka sportowa (i na dodatek jeszcze - wojenna); spodziewano się sukcesów kasowych, tymczasem - klapa. Poszedłem do kina (odrywając się od telewizora) z recenzenckiego obowiązku: na widowni było nas jedenaścioro wraz z bileterem.

Pomysł, żeby przyciągnąć widzów tematyką olimpijską, gdy wszyscy żyli Olimpiadą, był w zasadzie słuszny; cóż, kiedy w realizacji nie wypalił.

Podobnie rzecz się ma, w jakimś sensie, z samym filmem Kotkowskiego: pomysł - doskonały, efekt ekranowy - raczej mierny. No bo proszę: reżyser bierze na warsztat niezaprzeczalnie fascynujący temat - „igrzyska olimpijskie”, jakie odbywają się w roku 1940 w jednym z jenieckich stalagów, gdzieś na terenie Rzeszy kroczącej właśnie triumfalnie od podboju do podboju przez Europę. Reżyser chce pokazać niezłomność ludzkich charakterów, patriotyzm, wolę przetrwania, wreszcie - ducha sportowego, który ożywia, a potem jednoczy ludzi skazanych na wieloletnią niewolę, częstokroć załamanych, zrezygnowanych. Chce dowieść, że idea sportu nie zna granic, że scala różne narodowości i nie przeszkadzają jej także różnice językowe. Wreszcie - umiejscowienie akcji, nie - w oficerskim oflagu (jak to w dotychczasowych filmach bywało, od „Towarzyszy broni” poczynając, a na „Wielkiej ucieczce” kończąc), ale w zgrzebnym, żołnierskim stalagu, w społeczności zupełnie innej niż ta, do jakiej oglądania przyzwyczailiśmy się w filmach „obozowych” - jest pomysłem nowym i oryginalnym. Co więcej, „Olimpiada 40” nawiązuje do autentycznych wydarzeń: w licznych obozach jenieckich kwitł sport, odbywały się zawody i igrzyska, w których uczestniczyli żołnierze aliancy różnych narodowości.

Film Andrzeja Kotkowskiego powierza wątek prowadzący Piotrowi (Mariusz Benoit), polskiemu podoficerowi przebywającemu w obozie dla jeńców wojennych różnych narodowości. Piotr, reprezentant polskich barw podczas XI Olimpiady w Berlinie w 1936 r., stara się zgromadzić wokół siebie żołnierzy zainteresowanych sportem oraz... potencjalnych kibiców; doprowadzi wreszcie - mimo licznych przeszkód ze strony dowództwa obozu - do

zorganizowania „igrzysk olimpijskich”. Różne będą w nich konkurencje - takie, na jakie pozwalała miejscowa specyfika: od rzutu młotem kowalskim do wyścigu w... skakaniu „żabką”, ale duch sportowy i radość z odniesionego zwycięstwa okażą się takie same jak na „prawdziwych” zawodach.

Film ma interesujące zdjęcia, a niektóre sceny, jak te - w kamieniołomach, czy na placu apelowym - są wręcz znakomite: dynamiczne, świadczące o umiejętności kierowania przez reżysera tłumami statystów, dowodzące, że Kotkowski posiada także wyczucie plastyczne.

Ale większość filmu - nuży. Czas wlecze się w nim ponuro i jednostajnie od sceny do sceny, od sekwencji do sekwencji, rozbłyskując tylko niekiedy w ekranowej pomroce jaskrawym pomysłem realizatora. Pewnie, wazą się w „Olimpiadzie 40” i problemy egzystencjalne, i ponadczasowe zagadnienia... Ale timbre całości mógłby być jednak chyba trochę mniej „bolesny”, „nabrzmiały”, „patetyczny”. Przecież - jak słusznie zauważa jedna z recenzentek - „Epizod wojennej olimpiady rozegranej w stalagu jest z pewnością jednym z najdogodniejszych epizodów w sześćioletniej historii wojny i okupacji”. Bo wszak m. in. była to „manifestacja młodości, witalności i sprawności fizycznej, a młodość zawsze jest optymistyczna, szczególnie w walce sportowej”.

No właśnie: gdzieś między pomysłem a efektem artystycznym zgubiła się Kotkowskiemu młodzieńczość jego bohaterów.

Pierwodruk: „Kamena”, 1980, nr17, s. 11.